Antoni Magda

Wspomnienie z pobytu w łagrach Związku Radzieckiego w latach 1944-1946

Rocznik Kolbuszowski 5, 157-170

2001

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

ANTONI MAGDA

Wspomnienie z pobytu w lagrach Związku Radzieckiego w latach 1944-1946

Urodziłem się w 1909 r. We wsi Trzęsówka, w powiecie kolbuszowskim, jako pierwsze z jedenaściorga dzieci Michała Magdy i Honoraty z Wołowców, rolników na pięciu hektarach piaszczystej, ubogiej, puszczańskiej niegdyś ziemi. Dzisiaj Trzęsówka należy do gminy Cmolas. Nas, z rodzeństwa wychowało się dziewięć osób, dwie siostry i siedmiu braci. Rodzice nasi byli bardzo pracowici, uczciwi, a nawet i patriotyczni. Duży wpływ na nas mieli właściciele trzęsowskiego pałacu i folwarku, znajdujących się niedaleko od naszego domu. Lata wczesnego mojego dzieciństwa przypadły na czas pierwszej wojny światowej. Wojna ta przyniosła odbudowanie niepodległego państwa polskiego, co obudziło entuzjazm większości Polaków. Po wsiach jednak, a i w miastach, panowała duża bieda.

W Polsce już skończyłem sześć klas szkoły powszechnej i pomagałem rodzicom. Wyrosłem wysoki i dosyć mocny. Chciałem pracować i dorobić się czegoś w życiu. W latach 1926-1928 byłem trzy razy na "saksach", czyli na robotach sezonowych, letnich, w Niemczech koło Hamburga. Pracowałem w gospodarstwach rolnych. Nauczyłem się trochę języka niemieckiego. W roku 1929 pojechałem do pracy do Francji. Dostałem się do zakładów metalurgicznych koło Metzu. Byłem tam przez trzy lata i zarobiłem trochę pieniędzy. Zbliżał się dla mnie czas służby wojskowej, więc wróciłem do domu. Tutaj zaraz wzięto mnie do służby w 22 pułku artylerii lekkiej, stacjonującego na Bakończycach, jak się mówiło, za Przemyślem. Skierowano mnie do podoficerskiej szkoły łączności. Po jej ukończeniu dostałem stopień kaprala. Poznałem koszary, życie w nich, ale nie spodziewałem się, że będę w nich później jeszcze raz. Po stażu wojskowym w 1934 r. przyjechałem do domu i wnet, na Boże Narodzenie ożeniłem się ze Stefanią Czachor z mojej wsi. Przeniosłem się do jej domu i gospodarstwa, trochę dalej od folwarku. Gospodarowałem na roli, a dodatkowo nauczyłem się robić koła do chłopskich wozów. Zajmowali się tym wtedy liczni mężczyźni z Trzęsówki. Zaczęły przychodzić na świat dzieci.

W 1939 r. wzięto mnie na ćwiczenia wojskowe i dano po nich stopień plutonowego. 30 sierpnia 1939 r. znowu wezwano mnie do Bakończyc, teraz już na wojnę, 1 września Niemcy napadli na Polskę. Zaczęła się wojna. Byłem radiotelegrafistą, ale mój szlak bojowy był krótki. Niemcy

dopadli nas pod Kamionką Strumilową i rozbili. Dostałem się do niewoli Napastnicy przyprowadzili nas do koszar w Bakończycach. Potem wieźli do Niemiec. Uciekłem z pociągu i wróciłem do domu.

W 1940 roku podjąłem pracę w niemieckiej firmie budowlanej HackerFritz z Mielca. Wnet Niemcy ogłosili wysiedlenie Trzęsówki, jak i innych okolicznych wsi. Pozwolili nam jednak pozostać w domach. Mężczyźni z Cmolasu i Ostrów Tuszowskich organizowali konspirację wojskową. Zostałem piątym członkiem grupy w Trzęsówce i przyjąłem pseudonim "Piątek". Później, w 1943 r., zorganizowałem w Trzęsówce pluton Armii Krajowej (AK) "Trzcina". Należeli też do niego i moi bracia. Uczestniczyłem w jego szkoleniu. W lipcu 1944 r. uczestniczyłem w akcji "Burza" w Porębach Kupieńskich i w Kolbuszowej, w plutonie "Huragan". Pod koniec "Burzy" komendant "Boryna" polecił mi udać się do Trzęsówki i Kosowów i rozdzielić pomiędzy ich mieszkańców zboże, pozostałe po niemieckim baurze. Tego bauera oczywiście już nie było. Przyszła armia radziecka, Armia Czerwona. Spełniłem polecenie "Boryny" jednak nie wszyscy dostali tyle, ile sobie życzyli.

Potem było życie w obecności Rosjan i pod rzekomo polskim "prawitielstwem", czyli w powstającej Polsce Ludowej. Władzę obejmowali komuniści. Tworzyli władze administracyjne i polityczne. Ważną władzą polityczną był Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, mający wyszukiwać i unieszkodliwiać "wrogów klasowych" komunistów. W Kolbuszowej stworzono taki Urząd Powiatowy (PUBP), nazywany w skrócie UB. Milicja Obywatelska (MO) zastąpiła policję. Wnet nowy, komunistyczny rząd polski wezwał mężczyzn do służby w Ludowym Wojsku Polskim. Mężczyźni nie zgłaszali się. Ubowcy i enkawudyści, radzieccy policjanci, towarzyszący armii frontowej, rozpoczęli aresztowania. My, akowcy, nie mieliśmy uczucia wrogości do przybyłych i ciągle napływających żołnierzy radzieckich, chociaż byliśmy żołnierzami polskiego rządu emigracyjnego, działającego w Londynie i chcieliśmy odbudowania Polski o ustroju kapitalistycznym, związanej sojuszem z państwami zachodnimi. A tu nowe "prawitielstwo" wiązało nas z Rosją, znanym, odwiecznym wrogiem wolnej Polski. Pragnęliśmy, aby armia radziecka, walcząca z Niemcami, naszym wspólnym wrogiem, żeby przeszła przez naszą ziemię do Niemiec i nie mieszała się w nasze sprawy. Tymczasem było inaczej. Powróciliśmy z akcji "Burza" do domów pełni rozczarowania i niepewności. Niektórzy Sowieci od razu okazywali nam niechęć. My pocieszaliśmy się tym, że ci Sowieci nie znali przecież naszych nazwisk i miejsc zamieszkania, więc nie dotrą do nas i nie będą nam szkodzić. Nie spodziewaliśmy się, że ci obcy przybysze znajdą donosicieli i współpracowników wśród naszych ludzi, wśród Polaków, że zostaniemy wydani wrogom.

Po powrocie z akcji "Burza" pracowałem w domowym gospodarstwie, nadrabiając stracony czas. Nie interesowałem się zbytnio polityką, chociaż

zapoznałem się z treścią Manifestu PKWN i przyglądałem się temu, co się działo wokół. Słysząc o zamierzonym poborze do LWP, miałem zamiar pójść do tego wojska i dalej walczyć z faszyzmem. Tymczasem w moim domu znalazła pomieszczenie radziecka kuchnia kompanijna i spalała kupione przeze mnie drzewo. A ja miałem sześcioro małych dzieci. Jedno dopiero się urodziło.

W pierwszych dniach października odwiedził mnie Wojciech Lis, stary znajomy, dzielny wojenny partyzant i pogromca Niemców w tutejszych stronach. Też akowiec, po akcji "Burza" wstąpił do MO w Mielcu, ale przed odwiedzeniem mnie porzucił tę pracę, gdyż jak mówił - NKWD, UB i MO miały podjąć aresztowania byłych żołnierzy AK. On postanowił, że nie da się ująć, że ukryje się w lesie. Ostrzegał, że przyjdą i po mnie i namawiał, żebym poszedł z nim do lasu. Odpowiedziałem, że on jest kawalerem i nie ma gospodarstwa, ja mam żonę, dzieci i gospodarstwo, musiałem być z nimi. Zresztą - za co mieliby mnie aresztować. Należałem do AK, chciałem walczyć z Niemcami o wolność Polski, ale po przyjściu Sowietów nie prowadziłem żadnej działalności konspiracyjnej, pracowałem w domu, nie zajmując się polityką. W naszej, zniszczonej wojną wsi było tak dużo do roboty.

Ale nie długo cieszyłem się pracą w mojej wsi, w oswobodzonej ojczyźnie. W dniu 1 grudnia 1944 r. przyszli do mojego domu trzej obcy ludzie razem z naszym sołtysem, Kazimierzem Magdą i zabrali nas - mojego ojca Michała, mnie i dwóch młodszych braci, Jana i Czesława. Demolowali mieszkanie, szukając broni i dokumentów konspiracyjnych. Nic takiego nie znaleźli. Wzięli więc moją książeczkę wojskową i papiery z Francji. Zawieźli nas do Urzędu Bezpieczeństwa (PUBP) w Kolbuszowej. Zaraz rozpoczęto przesłuchania. Potem wepchnięto nas do piwnicy. Drugie przesłuchanie miałem po dwóch dniach. Wtedy ubek rzucił mi taboretem w plecy, bo nie pamiętałem "kak moje pseudo". Pytał mnie o to oficer NKWD. Pytano mnie dalej, kto należał do plutonu "Trzcina" w Trzęsówce, z jakimi ludźmi, o jakich pseudonimach się spotykałem. Gdy znowu nie pamiętałem, dostałem w twarz od leutnanta - enkawudzisty. Gdy próbowałem mówić byle co, usłyszałem , że "breszę" i "idy w czortu".

Mojego brata Czesława, jeszcze małoletniego, puszczono do domu. Nas trzech, ojca, brata Jana i mnie załadowano, w dniu 12 grudnia, razem z innymi mężczyznami z powiatu kolbuszowskiego, często znajomymi, na samochody ciężarowe i zawieziono do więzienia w zamku w Rzeszowie. I znowu wrzucono nas do suteren. Był grudzień, Cele były zimne. Spaliśmy na siennikach na podłodze. Ale co to było za spanie, gdy w nocy, dwa albo trzy razy wywoływano każdego i prowadzono na przesłuchanie do budynku wojewódzkiego UB. Przesłuchiwali dwaj Sowieci, major i porucznik. Polski porucznik był tłumaczem. I tam, pomimo różnych szykan, niczego sobie nie przypominałem. Jeść dawano nam dwa razy dziennie, rano i

wieczorem, po kawałku jęczmiennego, razowego chleba i po garnuszku ciepłej wody, ozdobionej kilkoma ziarenkami przypalonego jęczmienia.

Jednego dnia zabrano nas z suteren do sali na drugim piętrze. Było w niej już około czterdzieści osób ale i tak było tutaj lepiej niż w piwnicy. *Przez* duże okna był widok na miasto i Wisłok. Spanie i jedzenie było takie same, jak w suterenach. Robiono nam często rewizje, to za nożem, którym krzesano ogień w celu zapalenia papierosa, to za ołówkami, służącymi do pisania kartek do najbliższych, czasem przemycanych na zewnątrz.

W dniu 5 stycznia 1945 r. zwolniono mojego sześćdziesięciopięcioletnie-go ojca. Gdy wrócił do domu i powiedział, gdzie jestem z bratem, żona zaraz przywiozła mi świeżą bieliznę, bochen chleba- i trochę machorki. Chleb został podzielony pomiędzy wszystkie osoby w celi. Bardzo smakował. Machorką częstowaliśmy się, jeden papieros na trzech. Był kłopot z ukryciem dymu.

W dniu 13 stycznia ubowcy wyprowadzili nas na dziedziniec więzienny, załadowali na ciężarówki i wieźli na wschód. Każdy z nas myślał, jakby uciec, ale na każdej platformie samochodowej siedziało trzech uzbrojonych ubowców - konwojentów. Wieziono nas w kilku samochodach przez Łańcut, Przeworsk i Jarosław do Przemyśla. Przy szosie, co sto pięćdziesiąt, dwieście metrów, stał uzbrojony żołnierz radziecki. Przywieziono nas do znajomych mi już koszar wojskowych w Bakończycach. Tutaj pożywienie było trochę lepsze, fryzjer, Niemiec, pozbawił nas naszych kilkutygodniowych czupryn i bród. Można też było pochodzić po podwórzu, po powietrzu, czego byliśmy spragnieni.

Chyba w dniu 15 stycznia zabrano nas i zaprowadzono, pod konwojem Sowietów, na miejscową stację kolejową. Tam wepchnięto nas do stojących wagonów towarowych. Osiemdziesięciu mężczyzn do jednego wagonu. Mój brat i inni znajomi byli ze mną. Okienka wagonów były zakratowane drutem kolczastym. Czuliśmy się bardzo źle, nie wiedząc, dokąd nas wieziono. Niektórzy z nas, chociaż mężczyźni, byli wyczerpani psychicznie i płakali.

Gdy na stacji rozbłysły wieczorne światła lokomotywa stuknęła o wagony i ruszyliśmy w nieznaną drogę. Osoby bardziej energiczne starały się dostać do okienka i próbowali obserwować mijaną trasę. Wiedzieliśmy, że w nocy minęliśmy Lwów. Pociąg jechał, zatrzymując się co jakiś czas i przesuwając na "przetok", bocznicę, gdy nie miał wolnej drogi. A droga wiodła na północny wschód. Rano, w czasie postoju, otwierano zamknięte drzwi wagonu i wsuwano do niego nasze "pożywienie" - kilogram chleba na osiemdziesiąt osób i dwa wiaderka "kipiatoku", gorącej wody, zabarwionej pewną ilością jakichś ziół, mięty, rumianku czy innych. Czasem, wieczorem, dawano nam także trochę "kapustniaku", to jest wody, lekko po-maszczonej z odrobiną kwaśnej kapusty. Wrzucano do wagonu i po parę okrąglaków świeżego drewna, do palenia w żelaznym piecyku. Okrąglaki trzeba było łupać leżącym kilofem, ale i tak palić nimi było trudno. Była

rosyjska zima, mróz. Ściany wagonu oblepiał szron. Jego podłogę stanowiła jedna tafla lodu. A my musieliśmy układać się na niej do snu. Zimno nie dawało spać. Potrzebę naturalną załatwiało się przez otwór zrobiony w jednym z kątów wagonu. Na zewnątrz wagonów, na ich dachach, w specjalnych budkach siedzieli wartownicy, konwojenci, pilnujący nas. Zmieniali się dwa razy w ciągu nocy. W czasie zmiany warty konwojenci wchodzili do wagonów i sprawdzali, czy jesteśmy wszyscy. Było to bardzo męczące. Pociąg to jechał, to przystawał. Przez zadrutowane okienko zobaczyliśmy czasem promień słońca, także mijane wielkie pola i lasy. Popalone wsie świadczyły o ciężkich, przebytych w zeszłym roku, walkach z Niemcami. Gdzieniegdzie stały szkielety zniszczonych lokomotyw i wagonów.

W Kijowie staliśmy tylko godzinę. Pomyślałem, że był tu niegdyś Bolesław Chrobry, polski książę i miał uderzyć mieczem w Złotą Bramę. Pociąg wolno sunął przez most na Dnieprze. Pan Socha, artysta malarz z Gorlic zastanawiał się, z której strony pociągu zobaczymy jutro słońce. Jeżeli z lewej, to będzie znak, że jedziemy na południe, jeżeli z prawej, to będziemy jechać na północ. Lepiej byłoby jechać na południe, w cieplejsze strony. Ale następnego dnia zobaczyliśmy promień słońca z prawej strony. Stwierdziliśmy, że wiozą nas na północny wschód. Pewnie według odwiecznej tradycji - na Sybir. Serca nam zamierają. Cisną się myśli o opuszczonej rodzinie. Czy się do niej powróci? A pociąg stale zatrzymuje się i na coś czeka. Minęło już dwa tygodnie naszej ciężkiej, o głodzie i zimnie, jazdy w nieznane. Kolega Jan Bator z Rzeszowszczyzny, czytający po rosyjsku, dopuszczony do okienka, nie może odczytać napisów, umieszczonych na mijanych stacjach. Duże stacje przejeżdżamy przeważnie w nocy. Wreszcie przeczytał nazwę dużej stacji - "Oreł". Orzeł. Jedziemy więc, stwierdził, w stronę Moskwy. Wleczemy się, nie jedziemy. Nie jesteśmy jeszcze bardzo daleko od domów. W normalnych warunkach, normalnym pociągiem, można by przebyć tę drogę w parę dni. A nas tak męczą. Czasem nie dawano nam drzewa do palenia. Warstwa szronu na ścianach była coraz grubsza. Grudki jego spadały czasem na twarz albo za kołnierz.

Gdy minęło dwadzieścia dni jazdy, pan Bator przeczytał nazwę stacji -Tuła. Pociąg stanął. Podobno Tuła leży na południe od Moskwy. Znowu przetoczono nas na bocznicę, ale nie każą wysiadać. Mróz był duży. Śnieg poza wagonem także. Otworzono drzwi wagonu i dano nam, na powitanie, po kawałku chleba i po kilka łyżek "kipiatoku". Staraliśmy się ruszać w miarę możliwości, żeby nie zamarznąć. A staliśmy, całą noc. Rano wrzucono nam parę drewien do palenia, ale nie dano nic do jedzenia. Potem zmieniono lokomotywę i znowu ruszyliśmy. Tym razem jechaliśmy niezbyt długo. Wnet stanęliśmy w polu. Odjęto lokomotywę. Dano do wagonu po małej porcji suszonego chleba, bez "kipiatoku". Po paru godzinach otwarto drzwi wagonu i kazano wychodzić. Zobaczyliśmy ze stu wojskowych mężczyzn

z bronią w ręku i psami na smyczach. Był silny mróz i wiatr. Zatykało oddech. Sformowano nas w kolumnę marszową. Padła komenda -"krukom marsz". Ruszyliśmy. Popatrzyłem przed siebie i do tyłu. Zobaczyłem smutny widok zesłańców idący po rosyjskiej ziemi, ludzi wynędzniałych, brudnych i zarośniętych. Przypomniał mi się pochód Żydów, prowadzonych przez esesmanów w 1943 r., z Mielca do Złotnik na rozstrzelanie. Pomyślałem, że może i my idziemy na stracenie. Inna myśl mówiła, że gdyby miano nas stracić, to zrobiono by to bliżej ziem polskich, nie musiano by wieźć nas tak daleko.

Szliśmy, pod konwojem, dwa czy trzy kilometry. Na olbrzymim terenie nie było wiosek, mieszkań tubylców. Były tylko więzienne obozy pracy. Były baraki, czy inne budynki, otoczone drutami kolczastymi i stojącymi, wśród drutów, wieżami wartowniczymi. Obozy, tak bardzo podobne do niemieckich obozów koncentracyjnych. Nad bramami wejściowymi widniały gwiazdy, godła ZSRR. Ale to zobaczyliśmy później. Bo gdy przyprowadzono nas do jednego z obozów, z niemiecka łagru, było już ciemno. Później też dowiedzieliśmy się, że te łagry znajdują się na wschód od Tuły i mniejszego miasta Stalinogorska, na terenie Podmoskiewskiego Okręgu Przemysłowego, że będziemy tutaj pracować, że w tych obozach żyją w nędzy i pracują tysiące więźniów różnej narodowości, głównie jednak Polacy i Niemcy. Dzisiaj Stalinogorsk nazywa się Nowomoskowsk.

Zaprowadzono nas do obozu numer trzynaście. Wzięto nas do "stołowaji" na posiłek. Było w niej prawie tak samo zimno, jak i na zewnątrz. Ściany były oszronione. Dano nam trochę kapuśniaku, ugotowanego na śledziu i po dwie, trzy łyżki kaszy manny. Kapuśniak był kwaśny i smaczny, ale wszystkiego było malutko. Przecież każdy z nas był tak bardzo wygłodzony. Nie było mowy o dostaniu drugiej porcji. Wnet zaprowadzono nas do głównego budynku obozu, do dużej i piętrowej sali, hali. Była to hala dawnej, prywatnej fabryki. Stały w niej dziesięciopiętrowe prycze -nary, z gołych desek, bez sienników, poduszek i kocy. Mieliśmy na nich spać. Ja i brat Janek zajęliśmy sobie miejsce wysoko, prawie w ostatnim rzędzie, licząc, że wyżej będzie cieplej. Bo i tu było zimno jak w lochu. Nie zważając na nic, wyczerpani, rzuciliśmy się na deski, ściągnąwszy tylko buty. Położyliśmy je sobie pod głowy, z obawy przed "kupcami". Zasnęliśmy i spaliśmy nawet dobrze, już nie kolebiąc się w pociągu.

Ze snu zerwano nas wcześnie rano. Kazano znaleźć sobie jakieś naczynie na zupę. W kącie obozu leżała sterta puszek po konserwach. Tam znaleźliśmy sobie "miski" na zupę. Dano nam jej, raczej ciepłej wody i po kawałku czarnego, lepkiego chleba. Po tym śniadaniu wzięto nas, brudnych i zarośniętych, do "parikmachera", czyli fryzjera, a potem do - "bani". W tej łaźni nie było wanien, tylko drewniane korytka do mycia, z ciepłą wodą. Pochlapaliśmy się w nich, jeden po drugim, stojąc na golasa. Nasze ubrania zabrano do odwszalni i dezynfekcji. Gdy je odebraliśmy, wróciliśmy do hali.

Potem mieliśmy sześć dni kwarantanny i odpoczynku. Wzywano nas tylko do prac porządkowych wewnątrz obozu, do odgarniania śniegu, obierania ziemniaków, z których połowa była zgnita, dostarczania drzewa do kuchni. Po sześciu dniach stanęliśmy przed komisją, która podzieliła nas na grupy, według wieku i stanu zdrowia. Do I i II grupy zaliczono osoby młode i przeznaczono je do pracy w kopalni węgla. Osoby nieco starsze, z III grupy, zostały "pastroitielami", budowniczymi. Osoby najstarsze, z IV grupy, miały pracować tylko dla obozu.

Ja zostałem przydzielony do "pastritielskiego zawoda", do grupy budowlanej. Wnet zaprowadzono nas do obozu numer 16, oddalonego o kilka kilometrów, bliżej Stalinogorska. Dzień był piękny, mroźny, ale słoneczny. Dużo śniegu leżało dookoła. Naszą kolumnę prowadził silny, oczywiście uzbrojony konwój Sowietów. Do nowego obozu przyszliśmy w południe. Było tam kilkanaście drewnianych baraków, otoczonych strażnicami i ogrodzonych drutem kolczastym. Zaprowadzono nas do jednego z baraków i znowu każdemu przydzielono pryczę. Tym razem nie było ze mną brata Jana. Jego przeznaczono do pracy w kopalni.

Następnego dnia podzielili nas na "zawody", brygady robocze i pozwolono wziąć trochę cieplejszej odzieży - stary, wojskowy, niemiecki albo rosyjski płaszcz i czapkę, a gdy ktoś miał kiepskie buty, to mógł sobie wybrać na skórzanej albo drewnianej podeszwie. Drugiego dnia raniutko, prawie jeszcze po ciemku, musieliśmy stanąć na "prowierce" - apelu, na którym sprawdzano obecność. Następnie konwojenci zaprowadzili nas do pracy w tartaku, oddalonego o jakiś kilometr. Wyładowywaliśmy tam duże kloce drzewne z wagonów kolejowych, sortowaliśmy je i układali w duże pryzmy. W obozie pozostali tylko członkowie IV grupy, przeznaczeni do pracy w nim oraz "bolni" - chorzy. Ci, co zostawali do pracy w obozie dostawali sanie bez koni i sami je ciągnąc w dziesięć osób, przywozili na nich węgiel z niezbyt odległej kopalni. W całym obozie był tylko jeden kiepski wóz i para małych, włochatych koników. Przywoziły one do obozu prowiant. Gdy później śnieg stopniał i nie można było jeździć saniami, obóz dostał drugi wózek i drugą parę koników do wożenia węgla.

Każdemu więźniowi, gdy zaczynał pracować, ogłoszono na "prowierce" wiadomość, że musi wykonywać dzienną normę pracy. Normę wyznaczał "normirowszczyk". Gdy więzień wykonał normę pracy, dostawał - dzienną normę wyżywienia. Norma wyżywienia wynosiła: 60 dekagramów chleba, 80 dekagramów kapusty, 50 dekagramów ziemniaków i niewielkie ilości cukru, mąki, kaszy i soli. Kto nie wyrobił dziennej normy pracy dostawał połowę dziennej normy wyżywienia. Wykonanie normy sprawdzał, po dniu pracy, "normirowszczyk". Prawie żaden więzień nie wykonał nigdy dziennej normy pracy i dostawaliśmy codziennie rano, przed wyjściem do pracy i wieczór, po powrocie z pracy, z kuchni, trochę kapuśniaku na rybie i po dwie łyżki kaszy. Było to prawie nic, a praca, na powietrzu, była bardzo ciężka. Szybko chudliśmy i siły nasze wyczerpywały się. Dręczyła nas

tęsknota za krajem, domem, rodziną, nurtowało poczucie krzywdy. Ze starych gazet, kupowanych za duże pieniądze na papier do tytoniu, tytoniu zdobywanego z wielkim trudem, dowiadywaliśmy się o sukcesach armii radzieckiej na frontach, o zdobyciu przez nią Warszawy, Poznania, o zdobywaniu Wału Pomorskiego. Przyjmowaliśmy te wiadomości z mieszanymi uczuciami, i z radością oraz nadzieją i ze smutkiem. Myśleliśmy, że Polska, nasza ojczyzna dostaje wolność, a my, cośmy walczyli o tę wolność, jesteśmy w niewoli, na obcej ziemi, w tak ciężkich warunkach, nie wiadomo na jak długo. I za co? Czy nasza działalność konspiracyjna przeciwko Niemcom była przestępstwem, czy musimy za nią pokutować, pracując jak niewolnicy, w obcym kraju, w głodzie i zimnie, bez wiadomości od rodzin, w niepewności jutra? Nikt nie dawał odpowiedzi na nasze pytania. Nie wolno było pisać do domów. Niektórzy z nas, zwłaszcza ci pracujący w kopalniach węgla, chorowali i umierali.

Ja pracowałem w tartaku, przy budowie baraków, przy odśnieżaniu dróg i torów kolejowych. Gdy przyszła wiosna i śnieg stopniał, w niedziele - dni naszego odpoczynku, zaczęto nas wysyłać w pole w sąsiednim kołchozie, do siania marchwi, sadzenia ziemniaków i kapusty. Wysyłano nas oddziałami, liczącymi około dwustu pięćdziesięciu mężczyzn, najpierw ze sztychówkami, zrobionymi ze starej blachy z kopalnianych wózków, do rycia ziemi , potem do siania czy sadzenia. Praca była ciężka. Miejscami ziemia, na niewielkiej głębokości, była zamarznięta, a najczęściej pola były twardym ugorem, na którym pasły się kozy. My, nie odżywieni, byliśmy słabi. Nie mieliśmy siły kopać grudy tępymi sztychówkami. A tutaj także musieliśmy wykonywać dzienną normę, żeby dostać normę wyżywienia. Jednak ugór powoli stawał się urodzajnym czarnoziemem, gotowym do zasadzenia w nim czegoś, najczęściej ziemniaków. Czasem ziemia była skopana tak płytko, że nie było czym przykryć włożonego w nią sadzeniaka. Myślałem, że z tej naszej roboty nic nie wyjdzie. Myliłem się. Ziemniaki, chociaż niedbale plewione i oporządzane po zejściu, rosły bujnie, udały się.

W pewną sobotę po posadzeniu ziemniaków w polu, należącym do obozu, po mizernym, jak zawsze wieczornym posiłku, sam naczelnik obozu, zrobił nam zebranie w stołówce. Powiedział, że jutro jest niedziela, dzień odpoczynku, jednak naród radziecki nie ma odpoczynku, on będzie pracował, i my musimy mu pomóc, że jutro rano przyjadą po nas samochody z niedalekiego kołchozu i zabiorą nas na pole, siać marchewkę. Nie sprzeciwiliśmy się. Następnego dnia, jeszcze nie zdążywszy zjeść naszego rannego posiłku, samochody już były. Kierowcy pospieszali nas słowami -"dawaj skoro na maszinu". Wsiedliśmy i jechaliśmy prawie godzinę przez pustkowia i pola. Pogoda była ładna, okolica również. Mieliśmy urozmaicenie. Zobaczyliśmy wieś, małe drewniane domki, murowany, nieużywany kościół, stawy bez wody i wreszcie szerokie, niby zaorane pole. Mieliśmy na tym polu siać marchew. Samochody zatrzymały się. Kazano nam

wysiąść, więc wysiedliśmy. Pole było zaorane w wielkie skiby pomiędzy którymi znajdowały się tak głębokie dołki, że można było się w nich schować. Ktoś z naszych powiedział - jak można siać marchew na takim polu? Trzeba je najpierw kultywatorować, zabronować, ale czym? Na razie nie widzieliśmy nikogo z kołchozu, więc czekaliśmy co będzie dalej.

Wnet polną drogą, pełną wybojów, przyjechała z kołchozu parokonna furmanka. Zsiadł z niej stary, brodaty dziadek, pokazał nam dwa worki nasion marchwi oraz małe, niezgrabne motyczki. Pokazał, że motyczkami należało robić w ziemi dołki i wkładać w nie po parę nasionek marchwi. Miało to więc być sadzenie nie sianie. Ja, rozweselony, podszedłem do kołchoźnika, przywitałem go i zapytałem się, czy nie ma trochę machorki na skręta. Miał machorkę, ale nie miał "bumagi" (papieru) do skręcenia papierosa. Miałem kawałek gazety "Prawda", poczęstowaliśmy się więc nawzajem. On wyjął trochę tytoniu z kieszeni i wysypał mi go na dłoń. Starczyło mi go do wieczora. Przy "zakurce" zapytałem się go, jak będziemy sadzić marchew w taką brylastą, nie zabronowaną ziemię? Czy nie mają w kołchozie kultywatora, brony, żeby rozbić skiby. Dziadek zastanowił się i powiedział: "Niczewo, u nas, w kołchozie jest mnogo kultywatorów, są ruskie, polskie germańskie, rumuńskie, ale wsie nic nie stoją. Najlepszyj jest staroj rusko-kultiwator i ja jewo skolko priwiedu". Czekaliśmy co będzie. Dziadek zaś poszedł w pobliskie krzaki, a za chwilę przy-wlókł z nich sporą wiązkę gałęzi. Zrobił tak jeszcze dwa razy. Potem wyciągnął z wozu kawał drutu, związał nim gałęzie w dosyć płaską całość, zaprzągł do nich włochate koniki, położył na wiązce posiadany na wozie worek, wypchany ni to sianem ni słomą - i ruszył z tym "kultywatorem" w pole. Przeciągał gałęzie po polu, wśród tumanów kurzu, w kierunku poprzecznym do orki i - roztarł trochę skiby. My przystąpiliśmy z motyczkami do sadzenia marchwi. Wieczorem samochody odwiozły nas do obozu.

Za pracę w obozie, poza nim i na kołchozowych polach nie dostawaliśmy ani grosza. Mówiono nam, że ZSRR za naszą pracę wysyła do Polski zboże, bydło i inne towary. Z czego korzystają i nasze rodziny. Nie wiedzieliśmy, jak to naprawdę z tym jest. Słyszeliśmy, że wojna już się skończyła, a nas trzymają, jako więźniów. Pytaliśmy się konwojentów, dlaczego nas przywieźli do Sowieckiego Sojuza, za co nas to spotkało, dlaczego oderwali nas od rodzin? Pytani różnie odpowiadali. Ale mówili, że przyjdzie dzień odjazdu. Czekaliśmy na ten dzień z utęsknieniem.

Aresztowani i przywiezieni do obozu nie mieliśmy nic własnego poza odzieżą. Jednak każdy człowiek instynktownie pragnie zdobywać coś, dorabiać się czegoś, coś kupić czy sprzedać. Nielegalny, potajemny handel rozwijał się w każdym obozie koncentracyjnym. Mając pieniądze można było kupić u kucharzy kawałek chleba, papieros, starą gazetę na skręcenie papierosa. Szukało się źródeł zdobycia kilku rubli. Ci, co pracowali w warsztatach czy na budowach, usiłowali zdobyć, zabrać, ukraść, jakiś

młotek, piłkę do metalu, stare naczynie czy kawałek zardzewiałej blachy. Z kawałka blachy można było zrobić coś potrzebnego, grzebień, nóż, łyżkę, garnuszek, kociołek, a kupcy na to byli. W tamtejszym prymitywie wszystko się przydawało.

Ja w lecie 1945 r. pracowałem na Bobriej Górze przy budowie baraków. Pracowaliśmy cały tydzień, a w niedzielę robiliśmy na kołchozowych polach przy żniwach, potem w jesieni, brano nas do kopania ziemniaków i wycinania kapusty. Przyjeżdżały po nas samochody z- różnych kołchozów. Zabierały od razu po dwieście osób. Na wielki łan ziemniaczany dawał kołchoz dwie pary koni z radłami. Radła rozkopywały rządki i wyrywały ziemniaki z ziemi, my je zbieraliśmy i sypaliśmy na paki samochodów ciężarowych. Samochody odwoziły ziemniaki do stołówek czy innych miejsc, zsypując je od razu, bez przebierania, do ziemianek. Zbieranie ziemniaków przy ładnej pogodzie było przyjemne, tym bardziej że konwojenci pozwalali, żeby jeden człowiek z każdej brygady palił ognisko i piekł ziemniaki, dla nich i i dla nas. Jak zawsze i tutaj był kłopot z wykonaniem normy. Ziemniaki były zadziwiająco ładne, a my, w pierwszym dniu pracy, staraliśmy się dokładnie je pozbierać. Samochody nie zdążyły zawieść ich do stołówek i trochę pozostało na dwóch pryzmach na noc. Pracowaliśmy tak uczciwie, a tu, wieczorem, przyszedł z kołchozu "normirowszczyk", żeby obliczyć naszą wydajność. Zmierzył wykopane pole, coś poobliczał i -stwierdził, że "płoche nasze dzieło", że wykonaliśmy tylko sześćdziesiąt pięć procent tego, co powinniśmy byli wykonać. Zapisał to na papierku i oddał papierek konwojentowi do obozu, dla "normirowszczyka" obozowego, żebyśmy dostali odpowiednią normę pożywienia. Pracując cały dzień nie jedliśmy nic, poza paroma upieczonymi ziemniakami. Każdy schował sobie prawie po pół wiaderka ziemniaków do nogawek spodni, zawiązanych na dole, z nadzieją na upieczenie ich w piecu w izbie barakowej, ale do upieczenia było daleko, a głód dokuczał. Tymczasem "na przechodnoj", to jest przy wejściu do łagru, zrobiono nam rewizję i - odebrano zdobycz. W obozie dali nam nędzną kolację, a po niej zrobiono "prowierkę" (apel) i naczelnik obozu skrytykował naszą "płochą" pracę. Było nam bardzo przykro, bo naprawdę pracowaliśmy rzetelnie. Na drugi dzień posłano nas do tej samej roboty. Przyjechaliśmy na pole przed kołchoźnikami z końmi i radłami. Gdy oni przybyli, podeszliśmy do nich na pogawędkę. Powiedzieliśmy im, że wczoraj tak dokładnie zbieraliśmy wykopane ziemniaki, tak się staraliśmy, a "normirowszczyk" zaliczył nam tylko sześćdziesiąt pięć procent normy i dostaliśmy mało jedzenia. Znany nam już dziadek powiedział: "Ot, Polaki - duraki. Wy nie umiejetie zbierać kartoszki. Ja warn pokazu". Wziął wiaderko, podszedł do nierozradlonego rządka, rozgrzebał go nogami, wybrał kilka ziemniaków, a resztę przysypał ziemią i zaczął robić to samo dalej. Powiedział, że tak trzeba robić, żeby wykonać normę. Dodał, żeby jedni zbierali ziemniaki za radłem, a inni rozkopywali rządki

nogami. Byliśmy zdumieni. Mówiliśmy, że przy takiej robocie dużo ziemniaków pozostanie w ziemi, że ich szkoda, bo jak przyjdzie mróz, to zmarzną, że przecież lepiej, żeby były zebrane i mieli je ludzie. Kołchoźnik odpowiedział, z filozoficznym spokojem - "niczewo". One i tak zgniją. Zgniją w ziemiankach i ludzie niewiele z nich skorzystają. Trzeba rozkopać jak najwięcej rządków, żeby wykonać normę. Robiliśmy według jego rady i w tym dniu samochody zwiozły wszystkie wykopane ziemniaki do miejsc przeznaczenia. "Normirowszczyk" zaś, gdy przyszedł wieczorem i obliczył rozkopane pole, był zadowolony z naszej "nie płochej" już pracy. Powiedział, że wykonaliśmy 125% normy. Dał odpowiednią "bumagę" do obozu i obiecał za dobrą pracę, że następnego dnia, w którym też mieliśmy kopać ziemniaki, przywiezie nam obiad z kołchozu. Pracowaliśmy znów dobrze, aby wykonać normę. Pod wieczór przyjechała furmanka z kołchozu z naszym obiadem. Szukaliśmy na niej oczami kotłów z zupą i kaszą, ale na darmo. Leżały na niej tylko jakieś pełne worki. Nasi konwojenci zrobili zbiórkę. Podchodziliśmy do wozu i każdy z nas dostał jako obiad niedużą kromkę czarnego chleba, dwie surowe marchewki i jedną małą cebulę.

Wnet po wykopkach, jednego pogodnego dnia nie posłano nas do pracy i coś nienormalnego działo się w obozie. Enkawudyści biegali od biura do biura i poza bramę. Zastanawialiśmy się co to znaczy. Wreszcie około godz. 9°° zrobiono zbiórkę na placu obozowym,. Naczelnik obozu stanął przed nami i najpierw wyczytywał nazwiska większości spośród nas, a potem powiedział, że wyczytani pojadą do domów, do Polski. Mnie serce zamarło, bo wśród wyczytanych nazwisk było nazwisko mojego brata Jana i innych i innych z którymi mnie tutaj przywieziono, ale nie było mojego nazwiska. Czyżbym miał tu jeszcze zostać, gdy inni, moi towarzysze, pojadą? Ogarnęła mnie rozpacz. Pobiegłem szybko do obozowego biura z zapytaniem, dlaczego ja nie jadę do Polski, do żony i dzieci, na których utrzymanie nie ma kto pracować? Polityczny poczęstował mnie papierosem i odpowiedział, że dla wysłania wszystkich Polaków do kraju na razie brakuje wagonów, że najpierw wysyła się chorych, że lada dzień przyjdą zamówione wagony, to wszyscy Polacy wyjadą, bo Rosjanom są już oni niepotrzebni. Dodał: "Na dniu ujeżdżasz w Polszu. Daju słowo czesne, kak ja oficer". Co miałem zrobić? Musiałem się pogodzić z tym co jest. Tymczasem wyczytani, a wśród nich i mój brat, odeszli już z konwojem na stację kolejową. Pozostał ze mną Jan Bator i trochę znajomych. Zrozumieliśmy, że spędzimy w tym obozie drugą zimę. Baliśmy się jej, ale postanowiliśmy dbać o siebie, starać się nie zachorować i doczekać do powrotu do kraju. Dalej pracowałem tak, jak mi kazano.

Jednego dnia, pewnie w październiku, zostałem wezwany do naczelnika obozu numer 23. Prowadził mnie tam konwojent kilkanaście kilometrów. Obóz ten leżał na północ od Stalinogorska, obok "Fenolzawodu", fabryki kwasu karbolowego. Jego naczelnik szukał "koleśnika", kołodzieja,

bo w tym obozie rozsypał się ostatni posiadany wóz. Ktoś podał temu naczelnikowi mnie, jako kołodzieja. Gdy przyszliśmy na miejsce, naczelnik kazał dać mi coś zjeść, poczęstował papierosem i zapytał się, czy potrafię zrobić koła i i naprawiać wóz. Odpowiedziałem, że w mojej wsi, w Polsce, chłopi sami robili koła, że mogę spróbować je zrobić, ale do tego potrzeba materiału i narzędzi. On odpowiedział, że materiał u nich jest, a o narzędzia on się postara. Zapisał sobie jakie mają być te narzędzia i kazał mi rano następnego dnia zabierać się do pracy. Zapytał jeszcze, ile ja tych kół zrobię za dzień. Popatrzyłem się na niego, czy on jest mądry i powiedziałem, że za dzień nie zrobię ani jednego koła, że najpierw przygotuję sobie materiał, a potem zrobię razem cztery koła. Zgodził się, a ja poszedłem spać na obce, obozowe nary.

Na drugi dzień mój konwojent odszedł, ja dostałem innego konwojenta, oraz zażądanego pomocnika i narzędzia: piłę, nóż, młotek, i dębowe kloce drzewa. Piła była tępa, ale nie było pilnika do jej naostrzenia. Była jednak ziemianka - stolarnia, gdzie dwóch niemieckich jeńców, stolarzy, robiło okna i drzwi do baraków. Korzystałem więc trochę z ich narzędzi. Powoli przygotowałem drewna na piasty, szprychy i obwód kół. Pod wieczór naczelnik przyszedł to pooglądać. W następnych dniach ciosałem toporem piasty i szprychy. Nie było tokarki, żeby je otoczyć. Dostałem dłuto i dwa świdry. Wydłubałem otwory w piastach i wbiłem w nie ostrugane szprychy, tworząc "kozły". Gdy naczelnik je zobaczył, ucieszył się i kazał kucharzowi dać mi repetę kapuśniaku. Potem szły obwody kół. Te cztery koła robiłem dwa tygodnie. Zrobione trzeba było okuć. Nie było jednak obręczy. Naczelnik wyszukał kowala i z jakiegoś żelastwa zrobiliśmy obręcze, łącząc je nitami grubymi na palec. Naciągnęliśmy je na koła, okuliśmy piasty i założyliśmy koła na stare osie do wozu. Zaprzężono do niego dwa małe, gniade, obozowe koniki. Przy okazji zaglądnąłem do ich stajni. Zobaczyłem smutny widok. Stajnia nie miała żłobu ani drabiny, gdzie konie dostawałyby jedzenie. Pod ich przednimi nogami leżały łupiny z ziemniaków, siano i jęczmienna słoma. Zreperowany wóz zaraz pojechał do "Fenolzawoda" po węgiel na opał. Wnet ludzie, z kołchozu i innych obozów, dowiedzieli się o mojej sztuce kołodziejskiej i chcieli mnie sobie wypożyczyć. Naczelnik obozu nr 23 kazał mi robić szybko cztery następne koła. Przydzielił mi jednego Niemca do pomocy mówiąc: "Polaczki ujadut w Polszu, a Germańce ostanutsia. Budut rabotać".

Po zrobieniu czterech następnych kół skierowano mnie na "Posobnyj Chadziajstwo Fenolzawoda". Naczelnikiem był tam Białorusin, mówiący dobrze po polsku, porządny człowiek. Dał mi przepustkę i pozwolił chodzić swobodnie, bez konwojenta, od godziny 6 rano do 18 po południu. W zakładzie też był warsztat stolarski bez tokarki. Kazano mi wyremontować bryczkę, wóz i parę sani. Odkryłem dużą stertę starych bryczek, wozów i sań, połamanych kół. Kombinowałem, sztukowałem, łączyłem części z

różnych wehikułów w jedną całość. Ze znalezionego dosyć dużego kawałka starej blachy zrobiłem dwa garnki i sprzedałem je po trzydzieści rubli. Tu dostawałem trochę więcej jedzenia, ale była już zima i marzłem na polu. Starałem się zdobyć jakiś kawałek metalu, zrobić z niego sprzęt i sprzedać a za otrzymane pieniądze kupić u kucharzy kawałek chleba. Zdobyte ruble trzymałem w cholewie od buta.

W jakieś święto po Bożym Narodzeniu byłem słaby i strasznie głodny. Dostawszy ranną porcję, kupiłem sobie aż cztery porcje chleba. Dwie z kupionych jedną po drugiej zjadłem po śniadaniu razem z "kawą", wodą, zabarwioną skórką przypalonego chleba. Trzeci kawałek kupiony zjadłem po kolacji, czwarty chciałem sobie schować na rano. Ukryłem go w posiadanym tłumoczku, razem ze zdobytą łyżką cukru. Po rozmowach z kolegami, wieczór położyłem się spać, ale absolutnie nie mogłem zasnąć. Nie dawała mi zasnąć myśl o tym, że mam chleb i cukier. Ciągnęło mnie, żeby jeszcze to zjeść. Myślałem, że tyle już zjadłem tego dnia i wciąż byłem głodny, co to będzie, jak wrócę do domu. I nie zasnąłem, aż wstałem i zjadłem posiadany chleb z cukrem, jak gdybym był dzieckiem. Zapaliwszy papierosa, myśląc, że nie mam już chleba, zasnąłem.

Przez pierwsze, zimowe miesiące 1946 r. pracowałem dalej jako kołodziej, ale w zimie z 1945 na 1946 r. przemarzły mi nogi i zachorowałem. Teraz wzięto mnie do "bolnicy". Było tam dosyć dużo osób, cierpiących na różne schorzenia. Nie tyle nas leczono, co pozwalano wyleżeć się pod jakimś przykryciem. W kwietniu zebrano nas, około tysiąc chorych Polaków, podwieziono do pociągu i ruszyliśmy w drogę. Wieziono nas na południe i zawieziono, o głodzie, aż do Odessy nad Morzem Czarnym, gdzie było cieplej, rzekomo na dalsze leczenie. Jechaliśmy w wagonach towarowych, ale były w nich prycze do spania. W Odessie ulokowano nas w sanatorium "Arkadia Berik", ale zamiast leczyć, skierowano nas znowu do pracy. Pracowałem przez trzy tygodnie przy odgruzowywaniu odesskiego portu, po czym znowu poczułem się gorzej, nie mogłem chodzi, nie miałem siły poruszać się. W czerwcu wzięto mnie do szpitala i zaczęto coś leczyć. W szpitalu przebywałem do września. Powoli wracałem do sił.

We wrześniu zorganizowano transport do kraju grupy Polaków, liczący tysiąc pięćset Polaków. Ja, szczęśliwie, znalazłem się w nim. Jechaliśmy wagonami towarowymi, o głodzie i chłodzie, przez Kijów do Białej Podlaskiej. Przez Lwów było o wiele bliżej, ale punkt repatriacyjny był w Białej Podlaskiej. Dostałem tam kartę repatriacyjną i w krytycznym stanie, w dniu 20 października 1946 r. - wróciłem do domu. Miałem się jeszcze meldować co tydzień w najbliższym posterunku Milicji Obywatelskiej.

Wróciłem do rodziny, pomniejszonej o najmłodsze dziecko, małego synka. Był żal w sercu, ale trzeba było żyć dla tych, co szczęśliwie przeżyli. Zebrałem coś pieniędzy i zaniosłem do księdza z prośbą, żeby odprawił, w mojej intencji, Mszę Świętą dziękczynną. Dzisiaj, gdy wspominam deportację

tysięcy Polaków, w czasie II wojny światowej, do ZSRR, myślę - za co nas to spotkało? Dlaczego? Jakim prawem? Gdy później, przez całe lata trzeba było wysłuchiwać propagandy komunistycznej o państwie socjalizmu, niby najbardziej rozwiniętym kraju świata i największym przyjacielu Polski, ja dobrze wiedziałem, jak naprawdę z tym jest.

Post scriptum:

Wróciwszy do domu Antoni Magda, rolnik z Trzęsówki, podleczył się i zajął pracą w gospodarstwie. Pięcioro jego dzieci i trzeba było posyłać je do szkół, dostosowywać do nowych warunków w ojczyźnie, w Polsce Ludowej, budującej socjalizm. Gospodarstwo, obciążone obowiązkowymi dostawami dla państwa, nie dawało potrzebnych dochodów. O pracę wówczas, w naszych stronach, było ciężko. Honorowego Antoniego denerwowały -obowiązek ciągłego meldowania się na MO i stosunek niektórych rodaków, którzy uwierzyli komunistom, że członkowie AK, a zwłaszcza ci, co zostali wywiezieni do ZSRR, byli - bandytami. Pojechał więc, dowiedziawszy się o takiej możliwości, do pracy w kopalni węgla na Śląsku. Pracował przez kilka lat, oddając zarobione pieniądze rodzinie. Gdy wrócił, znalazł sobie jeszcze zajęcie w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu. Dzieci pokończyły szkoły, pozakładały rodziny. Władze francuskie podjęły wypłacanie znacznych rent Polakom, którzy pracowali w ich kraju przed II wojną światową. Antoni Magda dostał rentę za pracę w młodości koło Metzu. Jako uczestnik wojny obronnej Polski we wrześniu 1939 r. został przyjęty do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Dostał odznaczenia za tę wojnę i za przynależność do AK. Spisywał swoje przeżycia. Udostępniał je historykom. Nie doczekał się upadku ustroju socjalistycznego. Zmarł w 1987 r. i spoczywa na cmentarzu w Trzęsówce.

Wspomnienie Antoniego Magdy z deportacji do ZSRR opracowała i podała do Rocznika Kolbuszowskiego

Halina Dudzińska